

Ciemne trawy

Rufus biegł drogą przedzierającą noc. Wiedział, że jego czas jest ograniczony. Wszystko w jego głowie ostrzegało go. To nie było zbyt przyjemne. Staął i złapał się za głowę. Nie miał po co uciekać, bo to i tak go dopadnie. Rozejrzał się dookoła.

Panowała noc, więc można by się spodziewać, że wszystko będzie skąpane w ciemności z delikatną poświatą księżycową, ale tak nie było. Niebo pomimo swej nieprzeniknionej ciemności nie miało księżycy, jakby go zjadło. Gwiazd też nie było, po prostu ciemność. Teren wokół był lekko pofalowany i rosła trawa, ale nie taka zwyczajna. Może i miała zielony kolor, ale jakby lekko świeciła, a na dodatek była niezwykle wysoka. Byłoby tu bardzo ciemno, gdyby nie dróżka. Wyglądała jak stworzona z białego światła. Rozjaśniała teren wokół. To wszystko było niezwykle i piękne.

Rufus ocknął się z zamyślenia. Pora uciekać dalej. Nie złapią mnie. Rzucił się w gąszcz traw.

Przedzierał się dzielnie. Rękami wystawionymi do przodu odgarniał trawy i biegł zawzięcie. Obiecywał sobie pod nosem, że znajdzie wyjście i ucieknie. On nie ucieknie?! Był Rufusem Gelambino! Przeżył dwie wojny światowe. Nic go nie złamie.

Przystanął, by wziąć oddech. Wtedy nie dotykał traw, to trawy nagle go pochwytyły. Zaczęły od kostek i powoli oplatając każdy skrawek ciała, pięły się w górę. Nie zaciskały się mocno, ale były niezłomne. Rufus próbował się opierać, ale czuł, jakby szarpał się z kamieniem. Gdy trawy doszły do głowy, zemdłał.

Obudził się na wyniszczonej ziemi. Wkoło nie było nic. Tylko piach. Rufus wyteżył wzrok i wszystko zaczęło falować. Spadał jednocześnie w dół i w górę, ciągnęło go w lewo i w prawo. Czuł się rozdzierany. Czuł, że coś mu grzebie w głowie. Nagle wszystko ustało. Jak cisza przed burzą. Runął w ciemną otchłań.

Jego stopy ubrane w ciężkie wojskowe buty dotykały kocich łbów. Ciało obleczone było w postrzępiony mundur. Na ramieniu przewieszony karabin. Na głowie coś, co kiedyś było hełmem, a w brzuchu wielka dziura. Rufus poprawił karabin i rozejrzał się. Wszędzie ciągnęły się bezkresy kocich łbów, a na dalekim horyzoncie majaczyły zarysy budynków.

Szedł przed siebie.

Minuty.

Godziny.

Dni.

Miesiące.

Lata.

Nadal był tam, gdzie zaczynał. Nie uszedł ani metra. Kocie łby zdawały się z niego śmiać. Zdjął karabin. Przeładował. Strzelił na oślep. Ułamał się kawałek

kociego łba i trafił go w łydkę. Bolało. Rufus przyjrzał się miejscu pod ułamanym kawałkiem. Przebijało się stamtąd jasne światło. Światło drogi.

Znów go coś wciągało i szarpało. Widział każdy element swojego życia. Narodziny. Czasy szkolne. Jak poznał swoją przyszłą żonę. Ślub. Jak żona umiera. Jak idzie na wojnę. Potem widział następną wojnę. Znów był na drodze wśród traw pod czarnym niebem. Naprzeciw niego stał on sam. Wyglądał tak jak teraz. Rzadkie białe włosy i gdzieś tam przebijające łyse placki. Sylwetka niegdyś wysoka i wysportowana, teraz niższa o głowę i przygarbiona. Ręce lekko się trzęsły i było widać przez delikatną skórę żyły. Brzuszek nie był bardzo widoczny, ale rysował się pod oliwkową koszulą, a pod brązowymi, sztruksowymi spodniami widoczne były lekko trzęsące się kolana. Spojrzenie brązowych oczu drugiego siebie przeszywało go na wylot, a na pomarszczonej twarzy kwitł szydrczy uśmiech.

- To koniec? - w sumie bardziej stwierdził niż zapytał Rufusa jego klon.

- Tak, to koniec - oddał się w ręce śmierci.

Klon podszedł do Rufusa i po drodze gubił twarz. Ukazały się ciemne szaty bez kresu. Rufus złapał go za zimną rękę przez szatę i poszli w kres bezdennej białej ścieżki. Śmierci nic nie ucieknie.